

SĄ TAKIE SEKRETY, KTÓRE NIE MOGĄ POZOSTAĆ W UKRYCIU...

LUNA I PEWNE KŁAMSTWO

MARIANA ZAPATA



Tytuł oryginału

Luna and the Lie

Copyright © 2018 by Mariana Zapata

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne

Oświęcim 2024

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Anna Grabowska

Korekta:

Monika Nowowiejska

Edyta Giersz

Aga Dubicka

Redakcja techniczna:

Michał Swędrowski

Prawa autorskie okładki/Cover art copyright:

Letitia Hasser

Projekt okładki:

Paulina Klimek

Druk i oprawa:

Abedik S.A.

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8362-310-8

MARIANA ZAPATA

LUNA
I PEWNE
KŁAMSTWO

Tłumaczenie
Anna Zaborowska-Cinciała

*Pamięci ukochanej Tii Evi
Kocham Cię na zawsze i na wieki*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kiedy do moich uszu dotarło „Luna, do cholery”, postanowiłam unieść powieki.

Ale to dudniący, głęboki tembr głosu, który towarzyszył tym słowom, sprawił, że skierowałam wzrok na mężczyznę stojącego jakieś dziesięć kroków ode mnie.

Opierał ręce na biodrach i patrzył gniewnie.

Na mnie.

Gdybym miała zgadywać, dlaczego to właśnie ja byłam farciarą, którą obdarzył tym krzywym grymasem, powiedziałabym, że pewnie dlatego, iż miałam zamknięte oczy przez – zerknęłam na mój wysłużony, acz niezawodny zegarek G-Shock – jakieś dwadzieścia minut.

Kogo ja w ogóle próbowałam oszukać? Byłam gotowa postawić wszystkie swoje oszczędności na to, że właśnie o to chodziło.

Kiedy tylko zobaczyłam go tego ranka pochylonego nad otwartą maską półciężarówki GMC z lat pięćdziesiątych, po

czym dostrzegłam białą koszulkę przylegającą do ciała pod kombinezonem, już wiedziałam, że był nie w humorze. Nie żeby piątkowy poranek szczególnie sprzyjał dobremu nastrojowi, ale... za każdym razem, gdy facet, który właśnie patrzył na mnie wilkiem, ubierał się w coś białego, stanowiło to niezaprzeczalny dowód, że miał podły humor. Ot, taka prawda.

Na pewno nie pomógł również fakt, że kiedy tego ranka przyniosłam mu kubek kawy, zapytał mnie:

– I co, zdecydowałaś się?

I podobnie jak za każdym poprzednim razem, gdy padało to pytanie, odpowiedziałam mu:

– Ach, nie.

Można by przypuszczać, że skoro już wcześniej zadał je około siedmiuset razy, po czym usłyszał tę samą odpowiedź, to w końcu powinien przewidzieć, jak zareaguję i tym razem, ale mimo wszystko nadal go to irytowało.

I chociaż nie było całkiem dziwne, że on, mój szef – a dokładniej jeden z dwóch moich szefów – rzucił do mnie „Luna, do cholery”, to tak właściwie nie zdarzało się to zbyt często. Nie lubiłam wpadać w kłopoty. Moi przyjaciele niejednokrotnie powtarzali, że jeśli tylko ktoś był na mnie zły lub poczuł się choć w niewielkim stopniu mną zawiedziony, z miejsca wychodziło mi uczulenie. To była klątwa, której nie udało mi się zdjąć, niezależnie od tego, ile razy obracała się przeciwko mnie.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu na widok mężczyzny stojącego z rękami na biodrach, który srogo ściągnął brwi. Już nawet miałam puścić do niego oczko, bo wiedziałam, jak bardzo tego nie lubi, ale się powstrzymałam. W końcu dziś padał dzień białej koszulki, a ja musiałam zaoszczędzić jak najwięcej energii, skoro zostało mi jeszcze co najmniej osiem godzin pracy, zanim będę mogła pojechać do domu i zacząć weekend.

– Tak? – rzuciłam w odpowiedzi na jego gniewny pomruk pod moim adresem, choć pewnie powinnam zapytać, co takiego zmalowałam.

Przecież to chyba nie grzech, że zamknęłam oczy na te kilka minut... technicznie rzecz ujmując.

Ripley, zmrużywszy oczy, skupił wzrok wyłącznie na mnie, jednocześnie ignorując pozostałych siedmiu pełnoetatowych pracowników siedzących w pokoju socjalnym, gdzie w każdy piątek odbywały się nasze cotygodniowe zebrania. O dziewiątej rano, dwie godziny po tym, jak zwykle zaczynałam pracę, cała ekipa Cooper's Collision and Customs zbierała się, żeby posłuchać naszych szefów, którzy omawiali najbliższe projekty, bieżące sprawy, zlecenia, problemy, skargi, a także spierali się o to, kto przesadził z odświeżaczem powietrza w łazience.

To doświadczenie nie należało do przyjemnych i nie ma co ukrywać – udawało nam się przetrwać te spotkania tylko dlatego, że dostawaliśmy za to kasę. Już i tak trudno było nie zasnąć codziennie rano, ale w piątek, kiedy od weekendu dzieliły nas ledwie godziny, a do tego w pokoju robiło się gorąco od tylu osób zebranych wokół? W takich warunkach utrzymanie otwartych powiek graniczyło niemal z cudem.

Pewnie nie pomógł również fakt, że poszłam spać dobrze po północy, ponieważ siedziałam z Lily i oglądałyśmy horror – lecz gdy mnie poprosiła, po prostu nie potrafiłam jej odmówić. Nasz wspólny czas dobiegał końca, dlatego wiedziałam, że pewnego dnia przyjdzie mi żałować, że nie wykorzystałam każdej okazji, by móc pobyć razem. Odrobiłam już tę lekcję z moimi dwiema pozostałymi siostrami.

Byłam jednak całkiem pewna, że wbijający we mnie wściekle spojrzenie mężczyzna ani nie wiedział nic o moich rozterkach, ani tym bardziej się nimi nie przejmował, co oczywiście potwierdziły jego kolejne słowa.

– Czy przypadkiem nie rozmawialiśmy już o tym, żebyś skończyła z drzemkami w czasie zebrań? – wycedził Ripley tonem, który trudno było określić jako miły.

Nie żeby kiedykolwiek naprawdę taki był.

Nie spuszczać z niego jednego oka, pozostałam w tej samej pozycji, w jakiej mnie przyłapał – z łokciem opartym na stole i brodą spoczywającą na otwartej dłoni. Jednak zamiast obu zamkniętych oczu jedno miałam otwarte.

Cały czas się uśmiechając, podałam odpowiedź, której oboje całkowicie się spodziewaliśmy:

– Tak, owszem, rozmawialiśmy. – Na wszelki wypadek, gdyby zapomniał, co dokładnie mi powiedział, postanowiłam mu przypomnieć: – Prosiłeś, żebym tego nie robiła.

Bo tak było. „Luna, musisz przestać zasypiać podczas tych cholernych zebrań. Jeśli masz ochotę uciąć sobie drzemkę, poczekaj osiem pieprzonych godzin, aż wrócisz do domu, jasne?”. Odbiliśmy tę rozmowę za zamkniętymi drzwiami oraz w towarzystwie pana Coopera – człowieka, który mnie zatrudnił, mojego pierwszego szefa i właściciela Cooper’s Collision and Customs, a od trzech lat współwłaściciela tego przybytku.

Przekaz był jasny i szanowałam go.

Szef, a przynajmniej ten, który teraz spoglądał na mnie spod zmarszczonych gniewnie brwi, nie zareagował fizycznie na moją odpowiedź. Nawet nie mrugnął okiem, kiedy potwierdzał to, co oczywiście oboje wiedzieliśmy.

– Tak. Dokładnie to powiedziałem.

Stojący obok niego i wstrzymujący się od komentarza pan Cooper zakasłał, ale nie odezwał się ani słowem. Nie wzięłam tego do siebie. Podśledzałam wystarczająco dużo ich sprzeczek, żeby wiedzieć, że sporo czasu zajęło im dojście do tego punktu w relacjach zawodowych – mogli się ze sobą nie zgadzać, jednak też nie spierali się o to w naszym towarzystwie. Byłam przekonana, że nie tylko ja nie tęskniłam za tamtym etapem naszej pracy

w CCC. Pamiętam, że w tamtym czasie wszyscy opanowaliśmy trudną sztukę siedzenia w całkowitym bezruchu i wpatrywania się w ścianę, udając, że znajdujemy się zupełnie gdzie indziej.

Z tego akurat od dawna mam doktorat.

– I nikt nie dostanie pieniędzy za ucinanie komara na zebraniach – dokończył Rip z rękami wciąż na biodrach, jakby to zdanie było czymś zupełnie nieoczywistym.

Na jego szorstkiej twarzy wciąż malował się groźny grymas, który dziwnym trafem sprawiał, że na końcu jego wypowiedzi dało się wyczuć coś w rodzaju „nawet ty”, jakbym spodziewała się jakiegoś specjalnego traktowania.

Nigdy tego od nikogo nie oczekiwałam i też nikt mnie w ten sposób nie traktował, niezależnie od tego, co sobie myślał mój szef, kiedy miał zły dzień. Nie było żadnego „nawet ty”, byłam po prostu... ja. Pracownica, która zjawiała się wcześniej niż wszyscy inni, zostawała dłużej od pozostałych, a w ciągu ostatnich dziewięciu lat tylko kilka razy nie mogła stawić się w pracy. Byłam tą, która nigdy nie miała nic przeciwko nadgodzinom.

Ale to od zawsze był mój własny wybór, ja decydowałam się na to wszystko, więc nie ma co narzekać. Dlatego trzymałam buzię na kłódkę. Pewnie, mogłam odmówić, gdy mnie pytali, lecz za każdym razem podejmowałam decyzję, że zostanę do późna i pojawię się w pracy w weekend.

Trudno skoczyć z mostu, połamać nogi, a potem obwiniąć przyjaciela, który nas do tego namówił, za to, że trafiło się do szpitala.

Branie odpowiedzialności za swoje czyny i nieobarczanie winą innych za to, co sama na siebie sprowadzałam, było jedną z niewielu pozytywnych lekcji, jakie odebrałam od mojej rodziny, nawet jeśli nie próbowali mi tego przekazać celowo.

Szybko odrzuciłam tę myśl. Niektóre rzeczy i osoby były tak toksyczne, że nawet myślenie o nich mogło być szkodliwe.

Zamierzałam dziś podążać ścieżką szczęścia, a to oznaczało, że nie miałam zamiaru wracać myślami do starych spraw. Dzisiejszy dzień miał być dobry, podobnie jak jutrzejszy i następny, i jeszcze kolejny.

To właśnie dzięki tej myśli udało mi się utrzymać na twarzy uśmiech i nadal posyłać go wbijającemu we mnie wzrok mężczyźnie. Potrzeba było dużo więcej niż tylko Ripa w białej koszulce czy też przeblysków wspomnień o pewnych ludziach, żeby zrobiło mi się przykro lub bym zaczęła się smucić albo gniewać.

Cała sprawa sprowadzała się do tego, że byłam zmęczona. Zamknęłam oczy. Złapał mnie na tym. Koniec kropka, nie było czym się przejmować.

– Luna – Rip wypowiedział moje imię tym śmiesznie niskim głosem, który całkowicie mnie zaskoczył, gdy usłyszałam go po raz pierwszy. – Rozumiemy się? Żadnych pieprzonych drzemek podczas zebrania. To chyba nie jest takie trudne, prawda?

Usłyszałam prychnięcie kilka krzesel dalej, ale ponieważ po samym dźwięku rozpoznałam, komu się wyrwało, nawet nie zawracałam sobie głowy spojrzeniem w tamtym kierunku ani tym bardziej nie pozwoliłam, by zabołał mnie fakt, że bawi go, jak zostałam przywołana do porządku.

Dlatego, nadal trzymając uniesione kąciaki ust, kiwnęłam potakująco głową w stronę mojego szefa. Słyszałam go głośno i wyraźnie. Rozumiałam też spojrzenie, jakie rzucił Ripleyowi pan Cooper siedzący po jego lewej stronie. Nie miał prawa się wyżywać na mnie ani na nikim innym w naszym warsztacie. To była kolejna rzecz, o której dwaj właściciele jednego z najlepiej prosperujących warsztatów samochodowych w Houston w Teksasie rozmawiali bardzo często zamknięci w biurze, kiedy nie wiedzieli, że podsłuchują...

Czyli przez cały czas.

Nie żeby zdawali sobie z tego sprawę.

Przynajmniej miałam nadzieję, że tak było, bo przecież nie zachowywali się ani szczególnie cicho, ani też dyskretnie podczas swoich dyskusji.

Wszystko zaczęło się jakieś trzy lata temu.

Cooper's Collision and Customs to rodzinny biznes, który założył ojciec pana Coopera jeszcze w latach czterdziestych. Warsztat cieszył się sporym powodzeniem, a ja dostałam tam pracę niemal sześć lat przed dniem, w którym wszystko się zaczęło. Każdy pracownik w CCC otrzymywał uczciwe wynagrodzenie, wypłata była co drugi tydzień, a pan Cooper był – i nadal jest – najlepszym szefem na świecie. Moim skromnym zdaniem był jednym z najlepszych ludzi na całym świecie i wątpiłam, by ktokolwiek, z kim pracowałam, mógł się z tym nie zgodzić.

Kiedyś sprawy wyglądały normalnie. Mieliśmy jednego szefa. Pracowało nas dziesięcioro. Wszystko było w porządku. Aż któregoś dnia przyszedłam do pracy, nawet nie zwróciłam uwagi na klasycznego forda pickupa zaparkowanego na maleńkim parkingu dla klientów, a następnie o siódmej rano podsłuchiłam dobiegający z biura znajomy głos pana Coopera w towarzystwie drugiego, znacznie głębszego. Rozmawiali o tym, jak zamierzają podzielić zyski i dokąd przenieść firmę.

Z jednej strony zszokowało mnie to jak cholera. Choć z drugiej co mnie niby miało tak szokować? Podział zysków? Przeniesienie firmy, która była w tym samym miejscu przez ostatnie osiemdziesiąt kilka lat? Do warsztatu zawsze ustawiała się kolejka. Wszystko wydawało się w porządku.

Szczerze mówiąc, nawet kiedy myślałam o tym teraz, nadal nie rozumiałam, dlaczego pan Cooper zdecydował się przyjąć drugą osobę, która miałaby się zająć jego biznesem.

Podśluchiwałam ich rozmowę tak długo, jak tylko mogłam, po czym odeszłam, udając, że do niczego nie doszło, mimo że część mnie zaczynała niezle świrować na myśl o tym, co mogła oznaczać ta wymiana zdań. Dopiero po kilku miesiącach – podczas których nie puściłam pary z ust, biorąc pod uwagę możliwość, że mogłam coś opacznie zrozumieć – pan Cooper zafundował nam prawdziwą bombę informacyjną podczas piątkowego zebrania.

– Mam ważną wiadomość – oznajmił nam wszystkim nasz najprawdziwszy anioł. Prawdopodobnie byłam jedyną osobą, która zauważyła, jak bardzo trzęsły mu się wtedy dłonie, ponieważ nikt inny później nie poruszył tego tematu. – Przenosimy warsztat.

Wszyscy zaczęli mówić naraz, ale pan Cooper zignorował ich i ciągnął dalej.

– Od lat potrzebowaliśmy więcej miejsca. Zrobiło się za ciasno. Wszyscy zdajecie sobie z tego sprawę. Przeprowadzamy się do budynku o powierzchni czterdziestu tysięcy stóp kwadratowych...

Po czym, siedząc z rękoma wepchniętymi w kieszenie wytartych džinsów, przeszedł do kilku innych rzeczy, o których zdążyłam już zapomnieć. Wtedy, jeden jedyny raz, wziął głęboki oddech, a skala wiadomości przerosła chyba wszystkich – no, może z wyjątkiem mnie.

– To nie jedyna rzecz, która się powiększa. Dzięki większej ilości miejsca będziemy mogli obsłużyć większą liczbę klientów.

W tym momencie wszyscy przestali rozmawiać, a ja jedynie siedziałam tam z rękami między udami, zaciskając usta, gdy mój żołądek wykonywał salto ze świadomością, że jeszcze kilka miesięcy temu nawet do głowy by mi nie przyszło, że będę świadkiem takiej rozmowy.

– Do naszego zespołu dołączy Lucas Ripley – dodał na wydechu pan Cooper, człowiek, którego wszyscy kochaliśmy, a który

teraz sprawiał wrażenie, jakby sam nie był pewien tej wiadomości. A może to tylko kwestia mojej wyobraźni. – Zostanie współwłaścicielem firmy Cooper’s i od tej pory będzie rozbudowywał, a także prowadził część związaną z renowacją. – Przełknął ciężko, skrzyżował ręce na piersi i zapytał: – Jakies pytania?

Na szczęście dla mnie wszyscy byli zbyt zajęci panikowaniem po wzmiance o przeprowadzce, rozbudowie warsztatu i nowym właścicielu, by zauważyć, że nie zadałam ani jednego pytania.

Nikt z nas się nie zastanawiał, kim jest Lucas Ripley ani dlaczego do nas dołączył.

A kiedy następnego dnia dotarłam do pracy i zastałam nieco znajomo wyglądającą ciężarówkę zaparkowaną tuż obok pięknie odrestaurowanego mustanga pana Coopera, szybko zorientowałam się, kto był właścicielem tego samochodu. Domyśliłam się tego również dzięki temu, że przez te wszystkie lata, gdy pracowałam dla pana Coopera, nikt inny poza nim i mną nie pojawiał się tak wcześnie.

Nikt.

Dlatego, kiedy weszłam do budynku i przeszłam obok biura, kierując się do miejsca, w którym spędzałam większość czasu na lakierowaniu i dopieszczaniu karoserii lub innych detali, nie byłam bardzo zaskoczona, widząc za biurkiem pana Coopera rozmawiającego z mężczyzną siedzącym po drugiej stronie.

Facet był potężnie zbudowany, a koszulka z długim rękawem, którą miał na sobie mimo upalnej połowy lipca, opinała się na nim niczym druga skóra. Zakrywała wszystko od nadgarstków aż po obojczyki, ukazując jedynie kilka centymetrów wytatuowanej skóry szyi.

Może – pomyślałam sobie wtedy – to jedna z tych koszulek, dzięki którym człowiekowi robi się chłodniej.

Zatrzymawszy się przy drzwiach, zauważyłam, że nawet z profilu ten mężczyzna miał najbardziej skwaszoną, groźną minę, jaką w życiu widziałam. Nie wiedziałam, jak to dokładnie

wytłumaczyć, ale tak było. A do tego trudno było go określić inaczej, jak tylko jako chodzące arcydzieło.

Mam na myśli to, że był po prostu cholernie męski. Stanowił uosobienie testosteronu i tej całej reszty, z której składali się prawdziwi mężczyźni.

Od czasu do czasu udało mi się wypatrzeć okazy prawdziwych mężczyzn w ich naturalnym środowisku. Jeszcze częściej widywałam ich w sieci. Lecz ten tutaj, co do którego instynkt podpowiadał mi, że stanie się moim nowym szefem, ten, który siedział na krześle praktycznie znikającym pod tymi szerokimi barkami i górną częścią ciała, która powinna raczej należeć do zawodowego zapaśnika – ten facet z powodzeniem bił całą resztę na głowę. Nie przypominał obiektów westchnień, na których widok śliniły się moje siostry. Nie wyglądał jak model. Miał szerokie kości policzkowe, kanciastą szczękę, a jego usta nie były szczególnie pełne. Jednakże wszystkie te elementy zebrane w całość tworzyły twarz, której nie sposób zapomnieć.

Wprost oszałamiająca.

I od razu wiedziałam, że ta twarz i te bicepsy wielkości moich ud, a także szerokie przedramiona, które przykrywała obcisła koszulka z długim rękawem, będą mnie prześladować.

I ta nowo odkryta świadomość całkowicie mnie zaskoczyła.

Potem przez chwilę poczułam się rozdrażniona, bo pomyślałam, jak bardzo nie chcę nowego szefa. Niezależnie od tego, jakim ciachem by nie był. Kochałam pana Coopera i przy nim wiedziałam, na czym stoję. Dzięki niemu czułam się bezpiecznie. Ten nowy mężczyzna był kimś obcym, o którym nie wiedziałam, co sądzić. Bo z całą pewnością nie był tylko pierwszym lepszym kolesiem, z którym mogłabym swobodnie pracować.

Patrząc na to z perspektywy czasu, nie byłam w stanie przewidzieć, jak bardzo postać Lucasa Ripleya będzie mnie prześladować w przyszłości. Wchodząc wówczas do tamtego pomieszczenia, nie miałam pojęcia, że ten facet wkrótce stanie się moim

dłużnikiem. A już na pewno nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo ten dług będzie mu codziennie ciążył.

Jedyne, czego byłam pewna i co zapamiętałam, to to, że stałam w drzwiach biura Cooper's Collision and Customs, po czym pomachałam dwóm mężczyznom siedzącym w środku i uśmiechnęłam się do nich.

– Luna – przywitał mnie natychmiast pan Cooper, uśmiechając się tak szeroko, że gdybym go dobrze nie znała, nawet bym nie zauważyła, jak bardzo spięte miał ramiona. – Dzień dobry.

– Dzień dobry, panie Cooper – odpowiedziałam, po czym przeniosłam uwagę na olbrzyma siedzącego po drugiej stronie biurka.

Potężny mężczyzna zerknął najpierw w moją stronę, potem na pana Coopera, aż w końcu spojrzał ponownie na mnie. Ta groźna mina, pewnie wynikająca z napięcia wzdłuż linii szczęki i stale obecnej bruzdy między brwiami, pozostawała niezmienna. Nie uśmiechnął się do mnie ani nawet nie próbował wyglądać przyjaźnie. Tylko... patrzył.

I ot tak, w mgnieniu oka, jego spojrzenie zaczęło ciskać pioruny.

A moje serce zrobiło to, co zawsze, kiedy spotykałam kogoś, kto nie chciał mnie lubić. Sprawilo, że cała reszta mnie zapragnęła, by ta osoba, ten mój być może nowy szef mnie polubił.

To była kolejna przypadłość, z której nie potrafiłam się otrząsnąć nawet po tylu latach. Nadal miałam potrzebę bycia lubianą. Patrząc realistycznie, wiedziałam, że potrafiłabym i dałabym radę wytrzymać, nawet gdyby ktoś nie był fanem Luny Allen, ale... mimo wszystko zawsze próbowałam wszystkich do siebie przekonać. Mogłabym pewnie winić za to Ludzi, O Których Nie Zamierzałam Myśleć, gdybym pozwoliła sobie na podobne przemyślenia.

Lecz nie miałam takiego zamiaru.

– Cześć – przywitałam się, robiąc krok do przodu i od razu wyciągając rękę. – Jestem Luna.

A pan Cooper, będąc kwintesencją pana Coopera, powiedział: – Ripley, poznaj Lunę Allen. Zajmuje się lakierowaniem i, jeśli trzeba, pomaga przy karoserii i detailingu. Luna, to jest Ripley, mój... partner w interesach.

Od razu wyłapałam wahanie w doborze słów, kiedy nazwał tego mężczyznę partnerem w interesach, ale potem nie zastanawiałam się nad tym zbyt długo. Zwłaszcza że mój nowy szef nie spieszył się specjalnie, by podnieść rękę ze swojego uda oraz zbliżyć swoje długie palce i szeroką dłoń do mojej. Ścisnął ją przez chwilę, po czym równie szybko puścił. Zmrużył nieco oczy, co nie umknęło mojej uwadze i jeszcze bardziej rozbudziło we mnie potrzebę bycia lubianą.

– Miło mi pana poznać – powiedziałam, cofając rękę.

Mój świeżo upieczony szef przyglądał mi się uważnie. Jego oczy – o odcieniu gdzieś pomiędzy nieziemskim błękitem a szmaragdową zielenią – jeszcze raz prześlizgnęły się po panu Cooperze, a następnie wróciły do mnie.

Niestety zupełnie nie byłam przygotowana na pytanie, które niemal natychmiast padło z jego ust.

– Nie jesteś za młoda, żeby tu pracować? – zapytał głosem, który stanowił najgłębszy tembr, jaki kiedykolwiek słyszałam.

Nie mogłam się powstrzymać od zerknięcia na pana Coopera, ponieważ, zanim on sam zaproponował mi pracę, gdy miałam siedemnaście lat, zadał mi w zasadzie to samo pytanie. Uśmiechnęłam się więc jeszcze szerzej i ponownie spojrzałam na mężczyznę o ciele pokrytym ciemnymi tatuażami, które sięgały mu aż do szczęki.

– Nie.

Wydawało się, że zauważa dosłownie wszystko, a kiedy usłyszała moją odpowiedź, te niebiesko-zielone oczy, które wpatrywały się we mnie intensywnie spod krótkich, lecz niezwykle podkreślonych, czarnych rzęs, znów się zwężyły.

Mnie również nic nie umknęło.

– Jak długo tu pracujesz? – dociekał.

– Sześć lat.

Ta informacja sprawiła, że najpierw zobaczyłam mrugnięcie, a po chwili głęboki, zachrypnięty głos zapytał:

– Co wiesz o lakiernictwie?

Co wiem o lakiernictwie?

Uśmiech niemal zniknął mi wtedy z twarzy, choć jakimś cudem udało mi się go utrzymać. Nie pierwszy raz ktoś zadawał mi takie pytanie. Byłam jedną z niewielu kobiet, jakie znałam, które zajmowały się lakiernictwem samochodowym. Gdy byłam dzieckiem, nigdy nie przeszło mi przez myśl, że będę zarabiać na życie, lakierując auta i ich części, a już na pewno nie pomyślałam o tym, że pokocham to i stanę się w tym cholernie dobra, jeśli mogę tak powiedzieć. Cóż, takie szalone to życie.

Dlatego też powiedziałam prawdę temu facetowi, który popełniał ten sam błąd co wszyscy, których spotkałam na swojej drodze.

– Wiem wszystko o lakiernictwie – oznajmiłam.

Następnie uśmiechnęłam się do niego, bo w tym momencie wcale nie kłamałam. Po prostu wyłożyłam kawę na ławę. Zauważyłam jednocześnie, jak pan Cooper uśmiechnął się, kiedy z moich ust padały te słowa.

Ten nowy znów mrugnął, unióśł gęste, ciemnobrązowe brwi, nie spuszczać ze mnie wzroku, a gdy zadał następne pytanie, jego głos wydawał się jeszcze niższy.

– A co wiesz o karoserii? – rzucił, nawiązując do naprawiania mniejszych lub większych niedoskonałości lub nawet uszkodzeń.

Mimo wszystko udało mi się zachować uśmiech na twarzy.

– Prawie tyle samo.

Wtedy jeszcze nie wiedział o tym, że pan Cooper najpierw wprowadził mnie w tajniki pracy przy karoserii, a potem przeniósł na lakiernictwo. W tym też byłam całkiem niezła.

Ale ten mężczyzna, który miał stać się moim nowym szefem, rzucił krótkie spojrzenie na pana Coopera siedzącego po drugiej stronie biurka, po czym ponownie wbił wzrok we mnie.

– Co wiesz o klasycznych modelach samochodów? – zapytał ściszym głosem, o którym niespecjalnie wiedziałam, co myśleć.

Cholera, no i po ptakach.

Nawet ja zerknęłam na pana Coopera, lecz ten był zbyt pochłonięty spoglądaniem na drugiego mężczyznę, żeby zobaczyć, że potrzebuję jego uwagi i wsparcia. Tak więc palnęłam pierwszą rzecz, która przyszła mi do głowy.

– Co nieco. Nie wszystko, ale też nie jestem całkiem zielona.

Mężczyzna, który jeszcze chwilę wcześniej wydawał mi się wspaniały, zacisnął te nie do końca pełne usta.

Wtedy zapytał:

– Umiesz spawać?

Czy ja umiem spawać?

Zmrużyłam oczy, patrząc na niego.

– Czy to ma być jakiś test?

Wtedy facet z niezachwianą pewnością powtórzył swoje pytanie. Dokładnie tym samym tonem, którego użył za pierwszym razem.

I wiedziałam, od razu wiedziałam, że mnie sprawdza. Wzruszyłam więc tylko ramionami i powiedziałam mu prawdę.

– Znam podstawy.

Wykrzywił usta w lekkim uśmiechu, po czym odchylił na krzesło to swoje wielkie, zwaliste ciało. Podbródek pokryty ciemnobrązowym zarostem z domieszką srebrzystej szarości uniósł nieco wyżej niż wcześniej, co tylko potwierdzało, że nadal próbował mnie sprawdzać.

– Gdybyś robiła karoserię i znalazła ślady ołowiu, co byś zrobiła?

Kątem oka dostrzegłam, że pan Cooper westchnął i zakrył oczy dłonią. Był to pierwszy z wielu, naprawdę wielu razy przez

następne trzy lata, kiedy miałam okazję zobaczyć, jak wykonuje ten gest, ale to już inna historia.

I już wtedy wiedziałam, jakie miałam szczęście, że znałam prawidłową odpowiedź, bo byłam pewna, iż w przeciwnym razie zwolniłby mnie od razu.

– Nie spawa się na ołowiu. Trzeba go najpierw wypalić.

Słyszając to, mężczyzna rozsiadł się wygodnie na krześle i skrzyżował ręce na szerokiej klatce piersiowej.

Następnie całkowicie poważnie i zdecydowanie protekcyjnym tonem – dokładnie takim, jaki przyszło mi usłyszeć jeszcze setki razy w ciągu następnych kilku lat – stwierdził:

– Nadasz się.

Nadam się.

I tak właśnie było.

To było dawno temu i od tego czasu nauczyłam się, jak radzić sobie z Lucasem Ripleyem – lub Ripem tudzież Ripleyem, jak swego czasu kazał nam się do siebie zwracać.

Więc kiedy zapytał mnie, czy się rozumiemy w kwestii ucinania sobie drzemek, zrobiłam jedyną słuszną rzecz i odparłam:

– Rozumiemy się.

I starałam się, żeby brzmiało to jak najbardziej radośnie, choć zdawałam sobie sprawę, że moja odpowiedź jeszcze bardziej go zirytuje.

Ale przecież życie składało się z drobiazgów, a drażnienie Ripa bez jednoczesnego doprowadzania go do szewskiej pasji było grą, która sprawiała mi więcej radości, niż powinna. Raz na jakiś czas – oczywiście przy sprzyjających okolicznościach i gdy miał na sobie swoją granatową koszulkę – udawało mi się wywołać u niego ironiczny uśmiezek. A już całkiem sporadycznie

potrafiłam wykrzesać z niego błyskawiczny półuśmiech, który oczywiście zniknął w mgnieniu oka.

Dlatego, jeśli moje małe serduszko wzdychało na widok tego lekkiego skrzywienia warg czy ukradkowego uśmiechu, była to tylko moja sprawa i nikogo innego.

Oraz mojego rodzeństwa.

A także mojej najlepszej przyjaciółki.

I to by było na tyle.

Nie pozwoliłam sobie poświęcić zbyt wiele czasu na myślenie o tym, by skłonić go do reakcji, która nie byłaby gniewnym grymasem, lekką irytacją czy przewróceniem oczami. Zdecydowanie nie zamierzałam rozmyślać nad jego pozbawioną emocji twarzą, którą mogłam w pewnym sensie kochać i nienawidzić jednocześnie. Nic z tych rzeczy.

Ale wracając...

Wystarczyły dwa dni spędzone w CCC, aby zapytał – z pełnym pretensji spojrzeniem – czy zawsze cały czas się uśmiecham. Lecz pan Cooper wyprzedził mnie i powiedział, że tak. Bo naprawdę tak było.

Jednak, siedząc w tym momencie w pokoju socjalnym, otworzyłam drugie oko i posłałam szeroki uśmiech mężczyźnie w koszulce z długim rękawem, która ciasno przylegała do każdego ogromnego mięśnia na jego szerokiej klatce piersiowej.

– Nie spałam. Słyszałam wszystko, co powiedziałeś – wyjaśniłam.

Nie zdziwiłam się zatem, gdy mężczyzna, który, szczerze mówiąc, z biegiem lat stawał się tylko bardziej pociągający – nawet wraz z pogłębiającymi się zmarszczkami między brwiami i przy ustach – przesunął swoje niemal czterdziestojednoletnie ciało jeszcze bliżej mnie.

– Czyżby? I co takiego mówiłem? – próbował rzucić mi wyzwanie.

Czasami potrafił zachowywać się jak prawdziwy wrzód na tyłku. Naprawdę zasługiwał na to, żebym sobie z nim pogrywała. Ktoś w końcu musiał.

Siedzący nieco z boku pan Cooper uniósł wzrok na sufit i gotowa byłam przysiąc, że zaczął bezgłośnie modlić się słowami *Ojciec nasz*. Dwóch chłopaków siedzących przy stole zaczęło bąkać jakieś uwagi pod nosem. Miałam wrażenie, że jeden z tych dupków miał wielką ochotę wtrącić swoje trzy grosze, i Rip też chyba coś wyczuł, bo natychmiast rozejrzał się po pokoju, jakby usiłował znaleźć źródło hałasu.

Ostatnim razem, kiedy odstawił podobny numer, dwie osoby zostały zwolnione. W dodatku takie, które naprawdę lubiłam.

– Najpierw opowiadałeś o tym, że przerwy na lunch trwają za długo – wymamrotałam – a potem wspomniałeś, żeby po użyciu odkurzacza opróżnić go, bo to nie należy do twoich obowiązków.

Moja odpowiedź chyba załatwiła sprawę i przez nią zapomniał o tym, co akurat robił, bo zdążyłam powiedzieć ledwie kilka słów, a już ponownie i niechący znalazłam się w centrum jego uwagi. A wszystko przez to, że miał na sobie tę białą koszulę, a w takie dni zazwyczaj miałam zaledwie czterdziestoprocentową szansę, że uda mi się wyjść z rozmowy bez uszczypliwości z jego strony. W dni z szarą koszulką moja skuteczność wzrastała do jakichś siedemdziesięciu procent. W dni z granatową wskaźnik mojego sukcesu sięgał nawet osiemdziesięciu pięciu. Właśnie w te dni wiedziałam doskonale, że mogę go nawet poklepać po plecach i nie rzuci mi krzywego spojrzenia. To były zdecydowanie moje ulubione dni.

Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej, a nawet uniosłam brwi, patrząc na niego, ponieważ miałam nadzieję, że od teraz będzie z górki.

– Tyle wystarczy czy może chciałeś, żebym powtórzyła słowo w słowo to, co powiedziałeś? Bo pewnie bym potrafiła, szefie.

Niech sobie wsadzi te swoje dyrdymały.

Na tej twarzy, na którą ukradkiem zerkałam częściej, niż powinienam była, nie drgnął ani jeden mięsień. Nawet nie mrugnął. Choć tak właściwie powinien był domyślić się, że nie kłamałam. Prawdę mówiąc, nie podejrzewałam, by Rip ufał komukolwiek w warsztacie. Nawet panu Cooperowi, o ile podsłuchane przeze mnie kłótnie coś znaczyły, a przecież na pewno tak było. Ostatnim razem, kiedy byłam świadkiem tak zażartych kłótni, tamci ludzie szczerze się nienawidzili.

Pozwoliłam sobie rozciągnąć usta jeszcze bardziej, by pokazać mu zęby i posłać największy wymuszony uśmiech, a wówczas siedzący obok mnie kumpel parsknął śmiechem.

Za to mój szef – we własnej osobie – nadal nie był rozbawiony.

Ale nie powtórzył „Luna, do cholery”, więc zamierzałam uznać to za wygraną.

– Jak już mówiłem...

Rip kontynuował zebranie po tym, jak może przez dwie sekundy wpatrywał się we mnie z całkowicie wyczupioną z emocji twarzą, po czym skierował całą swoją uwagę z powrotem na środek pomieszczenia i wyrzucił mnie ze swoich myśli – a trzeba mu oddać, miał w tym sporą wprawę. Mówił między innymi o tym, że tylko dlatego, iż przyjeżdża do nas ekipa sprzątająca, nie daje nam to prawa do zostawiania po sobie bajzlu. Nikt nie przychodzi po to, by robić za czyjaś pokojówkę czy niańkę.

Zakrywając dłonią usta, ukryłam ziewnięcie i zerknęłam na kumpla siedzącego po mojej prawej stronie, wpatrującego się pustym wzrokiem w ścianę. Czterdziestopięciolatek oddychał ciężko, choć miarowo, a usta miał na tyle rozchylone, że od razu wiedziałam, iż zasnął z otwartymi oczami. Za to po mojej drugiej stronie mój inny kumpel, trzydziestolatek, który pracował w warsztacie prawie tak długo jak ja, podrygiwał nogą. Kiedy się zorientował, że patrzę na niego, uśmiechnął się krzywo, zerkając na Ripa, po czym pokręcił głową.

– Jezu – wymamrotał bezgłośnie.

Właśnie w takich chwilach naprawdę uświadamiałam sobie, jaką szczęściarą byłam, że dostałam tę pracę, a prawie wszyscy faceci, z którymi pracowałam, byli mili i dobrze mnie traktowali.

Przynajmniej aktualnie.

W międzyczasie wielu facetów zostało zwolnionych z CCC lub sami odchodzili, aż w końcu zaczęli tu pracować ludzie, którzy siedzieli ze mną na tym zebraniu, a ja nie mogłam być bardziej szczęśliwa. Gdy miałam siedemnaście lat, była to posada na samym końcu mojej listy potencjalnych wymarzonych karier. Prawie nie złożyłam tu podania. Ogłoszenie o pracy w warsztacie samochodowym nie było tym, czego szukałam. Ale w tamtym momencie mojego życia, kiedy poznałam pana Coopera, zaproponował mi on dwa wyjścia: pracować dla niego albo... nie.

Wybrałam pracę, bo gdy ma się siedemnaście lat, dwieście dolarów w kieszeni i zerowe pojęcie, co zrobić z własnym życiem, a dodatkowo człowiek wie, że nie może wrócić do tego, co było wcześniej... Więc kiedy w takim przypadku ktoś daje ci szansę, pierwszą, najprawdziwszą szansę, jaką ktokolwiek ci dał...

Nie można tak po prostu odmówić.

Zawdzięczałam panu Cooperowi wszystko. Naprawdę. Zmienił moje życie w większym stopniu, niż ktokolwiek inny mógł lub chciał, a ja przez te wszystkie lata codziennie mu dziękowałam. Byłam przekonana, że wtedy nie miał pojęcia, co ze mną zrobić, lecz zaoferował mi pracę, dał mi dom i szansę, bym stanęła do walki. A wszystko od tamtej pory było już historią.

Poczułam, jak w kieszeni zawibrował mi telefon, więc wsunęłam rękę do środka, żeby go wyciągnąć. Akurat w momencie, gdy Ripley zaczął mówić coś o zwiększeniu wydajności czasowej. Nie spuszczałam z szefa wzroku, kiedy tak stał przed nami z potężnymi ramionami skrzyżowanymi na piersi, i położyłam komórkę na udzie. Nie miałam zamiaru dać się złapać na trzymaniu jej na wierzchu. A już na pewno nie po tym, jak

wcześniej udało mi się go popisowo rozdrażnić. W końcu jeszcze cały dzień przed nami.

Nie spuszczałam wzroku z szefa, gdy po omacku odblokowywałam ekran. Rip wciąż się produkował, skupiając uwagę na wszystkich po kolei, jakby upewniał się, że nikt z nas nie zasnął, kiedy on mówił. Zerknęłam w dół i zobaczyłam, że dostałam nowego SMS-a od numeru, którego nie miałam zapisanego na liście kontaktów. Myślałam, że to pewnie jedna z moich sióstr, ale nie. Nie pozwoliłam sobie na rozczarowanie z tego powodu.

Mając oko na Ripa, otworzyłam wiadomość i przeczytałam ją tak szybko, jak tylko mogłam.

210-555-1230: Z tej strony Julius Thomas. Muszę z Panią pilnie porozmawiać. Proszę o kontakt najszybciej, jak to możliwe.

Julius Thomas? Nie znałam nikogo o tym nazwisku. Ten sam numer dzwonił do mnie wczoraj, lecz zignorowałam go, podobnie jak wiadomość na poczcie głosowej. Numer pochodził z San Antonio... tyle że nikt nie powinien stamtąd dzwonić.

Zapłaciłam wszystkie rachunki. Zapomniałam wprawdzie na czas opłacić rachunek za prąd, ale spóźniłam się tylko dwa dni. Mogłam się założyć, że to jakiś oszust.

Frajerzy.

Wsunęłam telefon z powrotem do kieszeni i skupiłam uwagę na mężczyźnie, który wciąż gadał, opierając się tyłkiem o blat. Przesunęłam spojrzenie na pana Coopera, który siedział obok, słuchając Ripa z zabawnym wyrazem twarzy, którego nie rozpoznałam. Choć raz nie była to frustracja.

Kiedy dotarłam do pracy dziś rano, nawet nie zastałam ich w trakcie kłótni.

W momencie, gdy zaczęłam próbować zrozumieć, co oznacza wyraz twarzy pana Coopera, chrapnięcie z mojej lewej strony sprawiło, że przesunęłam stopę i kopnęłam mojego kumpla, Miguela. Wessał gwałtownie powietrze, a całe jego ciało napięło się, po czym całkowicie się obudził.

– To ci sukinkot – wyszeptał, siadając nieco bardziej wyprostowany. – Dzięki, Luna.

Za nic w świecie nie pozwoliłabym żadnemu z nich wpaść w kłopoty, o czym doskonale wiedzieli. Nawet ten po drugiej stronie pokoju, który dostał wycisk od Ripa, kiedy przyłapał mnie z zamkniętymi oczami. Uwielbiałam to miejsce. Nawet jeśli Lucas Ripley czepiał się mnie od czasu do czasu, kochałam to miejsce i ludzi, którzy tu pracowali.

Jestem kochana, mam dom, pracę...

A w dodatku był piątek. Niewiele więcej było trzeba.

I ponad wszelką wątpliwość dzisiejszy dzień miał być dobry. Jakże mogłoby być inaczej, gdy ma się w życiu tak wiele dobrych rzeczy i tak wielu dobrych ludzi?

– Zanim zakończymy poranne zebranie – dźwięk głosu pana Coopera uświadomił mi, że przez ostatnie kilka minut całkowicie się wyłączyłam – jest jeszcze jedna sprawa, którą muszę się z wami podzielić.